

Jak zatrzymać maszynę wojny?

17 października 2024

Wojny są zmaganiem ludzkości. Niezależnie od wszystkich możliwych przyczyn ich wybuchu, wewnętrznych i zewnętrznych, tkwiących w psychice ludzkiej i logice rywalizacji społeczeństw, politykom i generałom zawsze wydaje się, że przy użyciu przemocy można rozwiązać najbardziej skomplikowane problemy.



Okazuje się jednak, że wojny są nieprzewidywalne. Rzadko kiedy ich wyniki przypominają to, co było oczekiwane w związku z ich rozpoczęciem. Ba, jeśli trwają długo, zapomina się nawet, co było prawdziwą i rzeczywistą przyczyną ich wybuchu. Wszystkie wojny kiedyś się kończą. Dawno temu po krwawych bojach zawierano przeważnie rozejmy i uzgadniano preliminarza, które otwierały drogę do traktatów pokojowych. Obecnie konflikty kończą się w sposób pełzający, poprzez zamrożenie, rozwleczenie w czasie, bez jednoznacznych rozstrzygnięć. Wojny przechodzą w stan „uśpienia”, „tłą się” poza zasięgiem kamer, by z czasem powrócić do fazy gorącej eksplozji. W takie przykłady od kilkudziesięciu lat obfituje konflikt bliskowschodni. Wiele wskazuje na to, że kolejnym miejscem permanentnych „wojennych igrzysk” będzie endemiczny konflikt ukraińsko-rosyjski.

Przykład Ukrainy...

pokazuje, że gdy wojna staje się igraszką w rękach możnych tego świata, jej ofiara nie ma praktycznie nic do gadania. Może występować z rozmaitymi wymyślnymi „planami zwycięstwa”, ale to nie ona decyduje o ich wdrożeniu. Klucz do rozwiązania konfliktu spoczywa przede wszystkim w ręku tych, którzy wojnę sprowokowali i robili na niej największe interesy. Tym państwem są przede wszystkim Stany Zjednoczone. Wiele na to wskazuje, że Ameryka jest już zmęczona tą wojną (tak jak Joe Biden prezydenturą), tym bardziej, że wojownicze kręgi decydentów zza oceanu osiągnęły swoje cele. Przede wszystkim ograniczono wpływy Rosji z jej surowcowym zapleczem na państwa Europy Zachodniej. Kolejne wybory parlamentarne w państwach zachodnich wskazują też na rosnącą popularność partii antywojennych. Społeczeństwa budzą się z prowojennego wzmożenia. Do wielu przywódców dociera ta niewygodna prawda, że zostali podpuszczeni przez swojego największego sojusznika zza oceanu i zgodzili się na katastrofalne w skutkach zburzenie pokojowego ładu w Europie.

„Kozłem ofiarnym” będą oczywiście władze w Kijowie, którym grozi nie tylko „dyktat pokojowy” ze strony Zachodu, ale i upokorzenie ze strony Rosji, która nie zamierza rezygnować z zajętych terytoriów. Punktem wyjścia do zamrożenia konfliktu będzie rewizja stanowiska Zachodu na temat przyczyn wojny. Niezależnie od wyniku wyborów prezydenckich w USA na wokandzie politycznej stanie prędzej czy później problem oceny zagrożenia egzystencjalnego dla Rosji, wynikającego z decyzji NATO o włączeniu Ukrainy do sojuszu. Do wielu analityków na Zachodzie dociera ta niewygodna prawda, że Rosja nie zgodzi się w żadnym wypadku, aby Ukraina stała się zachodnim bastionem na jej granicy. Tak więc, aby wojnę zakończyć, trzeba zrozumieć, co było jej przyczyną. Zwlekanie w tej sprawie ze strony USA i innych państw zachodnich będzie działać jedynie na niekorzyść strony najbardziej poszkodowanej, czyli Ukrainy.

Zrozumienie stanowiska rosyjskiego w sprawach bezpieczeństwa przez zachodnich polityków jest możliwe, ale zależy wyłącznie od ich woli politycznej. Tę ogranicza jednak podtrzymywana usilnie w przestrzeni publicznej „mantra” o imperialnej grabieży ziem ukraińskich przez Putina, któremu zależy na odtworzeniu Wielkiej Rosji. Nie mają znaczenia liczne oświadczenia Kremla, ani analizy choćby takich badaczy, jak John Mearsheimer czy Stephen Walt, co do rzeczywistych przyczyn konfliktu.

Co ciekawe, ślepotą poznawczą notabli zachodnich pomija nawet to, co potwierdzają sami politycy amerykańscy, na przykład długoletnia funkcjonariuszka Departamentu Stanu na froncie antyrosyjskim Victoria Nuland. Jej zdaniem, to sojusznicy Ukrainy od wybuchu kryzysu w 2014 roku, czyli od obalenia legalnego rządu Wiktora Janukowycza, zaczęli uzbrajać i szkolić ukraińską armię, zmierzając drogą faktów dokonanych do afiliowania Ukrainy z NATO. Przyznanie się do tego sprawstwa jest warunkiem sine qua non odbudowy choćby szczątkowego zaufania między Rosją a Zachodem. Tylko wtedy strony mogą spotkać się przy stole negocjacyjnym i wypracować stanowisko pozwalające każdej z nich „zachować twarz”.

W Stanach Zjednoczonych brakuje obecnie ośrodka sprawczej władzy politycznej, który byłby zdolny i skłonny do wypracowania nowej strategii wobec pogłębiającej się multipolaryzacji systemu międzynarodowego, z udziałem Chin i Rosji, a także innych regionalnych potęg. „Oficjalne” państwo amerykańskie ze swoją administracją jest „kulawe” (określenie wzięte od „lame duck” czyli „kulawa kaczka”, po polsku bardziej „kuternoga” czy „ofiara losu”). To pojęcie odnosi się do polityka w końcowym okresie sprawowania urzędu, kiedy jest już wyłoniony następca. W przypadku Joe Bidena stało się to wcześniej niż zdecydowano w wyborach. Powszechnie wiadomo, że skuteczność amerykańskiego prezydenta jest poważnie ograniczona. Nastął stan swoistego „bezruchu”, a nawet „paraliżu”, no bo jak odczytać deklarację jednego z

pretendentów na urząd prezydenta, że jeszcze jako elekt – przecież bez możliwości władczych – doprowadzi do zakończenia wojny na Ukrainie. Pachnie to anarchizacją systemu politycznego.

W uścisku „deep state”

W USA istnieje jednak od dawna drugi, równoległy i „realny” ośrodek władzy, dla którego „oficjalne” państwo jest jedynie przykrywką. Jest to system nieformalnych powiązań i uzależnień pomiędzy korporacyjną plutokracją, dowódcami armii oraz funkcjonariuszami służb specjalnych, a także lobbingu religijnego i etnicznego, zwłaszcza żydowskiego. Uczestnicy tego szerokiego gremium nie podlegają ani żadnej kontroli, ani społecznej weryfikacji w wyborach. Potocznie nazwano to środowisko „głębokim” lub „ukrytym” państwem („deep state”). Odgrywa ono zasadniczą rolę w procesach decyzyjnych instytucji rządowych i w kreowaniu strategii międzynarodowych USA. „Oficjalne” państwo pozwala „głębokiemu” państwu w mniejszym lub większym stopniu rządzić i pozostawać niezauważonym.

To z inicjatywy tych kręgów doszło do rozpętania ofensywy akcesyjnej nowych państw z Europy Wschodniej do NATO już w dekadzie lat dziewięćdziesiątych ub. wieku, choć nikt wtedy do końca nie zdawał sobie sprawy, że jest to narzędzie umacniania amerykańskiej hegemonii. Do dzisiaj wielu wyznawców atlantyzmu naiwnie uważa, że był to wyłącznie wyraz woli środkowo- i wschodnioeuropejskich społeczeństw. Tymczasem nachalne narzucanie wzorców kulturowych i praktyk ustrojowych wyraźnie świadczy o narastaniu wpływów i kontroli Anglosasów nad tą częścią Europy.

Pierwszym udanym eksperymentem przejmowania wpływów przez Zachód była Polska. Polakom wmówiono, że poprzez „rewolucję Solidarności” wyzwolili się z ucisku sowieckiego, odzyskując nieskazitelną suwerenność. O żadnym nowym podporządkowaniu nie było mowy, a obecnie wobec faktu subordynacji nadwiślańskich

elit politycznych Ameryce panuje zmowa milczenia. Wszystko, co nie pasuje do tego obrazu, nazywane jest putinowską propagandą i dezinformacją. Jak dotąd, tylko Węgrów było stać na nazwanie rzeczy po imieniu.

Najbardziej jaskrawym wyrazicielem tendencji ekspansywnych okazał się Joe Biden. Po objęciu prezydentury w styczniu 2021 roku stał się on wyjątkowo agresywnym „jastrzębiem” wobec Rosji. Wraz z sekretarzem stanu Antony Blinkenem postawili na całkowite zmanipulowanie władz ukraińskich. Przecież Władymir Zełenski został wybrany w marcu 2019 roku na prezydenta Ukrainy pod hasłami pokojowej normalizacji stosunków z Rosją! Co takiego się zdarzyło, że na początku 2021 roku radykalnie zmienił zdanie i nie tylko postawił na afiliację Ukrainy z NATO, ale zaczął demonstrować otwartą wrogość wobec Rosji? Z pewnością w czasie dokonywania rozliczeń z przywództwem Zełenskiego wiele tajemnych spraw wyjdzie na jaw, zwłaszcza że na Zachodzie nie brakuje krytycznych głosów na temat ogromnego skorumpowania władz ukraińskich.

Póki co, administracja Joe Bidena, podobnie jak jego prezydencka nominatka Kamala Harris, nie mają pomysłu na zakończenie antyrosyjskiej awantury. Widać wyraźnie, że nie sztuka jest głupio wojnę sprowokować, sztuką jest mądrze ją wygasić.

Kierując się strategicznym celem neokonserwatystów amerykańskich osłabienia, a nawet fragmentaryzacji Rosji, kolejni prezydenci poczynawszy od Billa Clintona, traktowali poradziecką Rosję z pobłażaniem. Rosyjską armię uznawano za zbyt słabą, aby mogła przeciwstawić się włączeniu Ukrainy i Gruzji do NATO. Ekipy kremlowskie z bólem przełknęły ekspansję NATO na wschód w 1999 roku i 2004 roku. Jednak poprzez demonstrację siły w wojnie gruzińskiej w 2008 roku oraz desperacki atak na Ukrainę w 2022 roku pokazały, że powstrzymanie NATO jest koniecznością dziejową i celem strategicznym Rosji. To nie tylko jej racja stanu („reason d'état”), to jej racja istnienia („reason d'être”).

Rosjanie uznają, analogicznie do doktryny Jamesa Monroe'go, na którą przez dwa stulecia powoływały się w zachodniej hemisferze Stany Zjednoczone, że mają prawo do zadbania o swoje bezpieczeństwo poprzez kontrolę bezpośredniego sąsiedztwa. Z kolei republiki poradzieckie sąsiadujące z Rosją w większości przypadków rozumieją, że są wystawione na szczególnie niebezpieczne „znoszenie się” sił nieprzyjaznych i odpychających się. Widać to wyraźnie na Zakaukaziu czy w Azji Środkowej, gdzie miejscowe rządy uczą się balansować między wpływami rosyjskimi i chińskimi, eurazjatyckimi i atlantyckimi.

Europa Wschodnia pozostaje jednak ze względu na swoją wrażliwość strategiczną obszarem szczególnym. To na jej kierunku rozgrywały się największe konfrontacje wojenne z czasów napoleońskich i hitlerowskich, był to obszar potężnej militaryzacji międzyblokowej w okresie „zimnej wojny”, wreszcie tędy przebiega granica międzycywilizacyjna, jak diagnozował to m. in. Samuel Huntington w swoim „Zderzeniu cywilizacji”.

Na tym tle łatwiej jest zrozumieć żądania Rosji, aby Ukraina pozostała państwem zneutralizowanym, zdemilitaryzowanym i zdenazyfikowanym. W tym ostatnim przypadku chodzi o debanderyzację. Rosjanie zgłaszają poza tym projekt rewizji ładu terytorialnego, przywołując – skądinąd słusznie – że podział terytorialny po rozpadzie ZSRR został oparty na zasadzie „uti possidetis” (niech pozostanie tak, jak posiadacie), co oznaczało przyjęcie sztucznych granic międzyetnicznych za granice państwowe. Powszechnie wiadomo było, o czym w wielu książkach pisała słynna francuska badaczka Hélène Carrère d'Encausse, że ogromna diaspora rosyjskojęzyczna znalazła się poza granicami nowej Rosji. Ta w ramach sukcesji przyjęła na siebie opiekę nad tą ludnością, nazywając ją rodakami (sootechestvenniki). Dziwne, że nikt wtedy na Zachodzie nie protestował przeciwko takiej interpretacji. W ramach „ruskiego miru” Rosjanie nawiązywali

do wspólnych korzeni, do przestrzeni językowej Rusofonii, do źródeł wiary prawosławnej i wspólnoty losów, choćby walk pod wspólnymi sztandarami z wrogami zewnętrznymi.

Dopóki obowiązywała na Ukrainie doktryna Dmytra Pawłyczki (przewodniczącego komisji spraw zagranicznych ukraińskiego parlamentu w latach 1990-1994) o statusie pozablokowym, dopóty trwał w miarę spokojny okres przejściowy. Doktryna ta była jednak przejawem idealizmu i wczesnopaństwowej naiwności. Ze względu na geopolitykę Ukrainy i jej zasoby można było się spodziewać, że prędzej czy później dojdzie do uaktywnienia sił antyrosyjskich i prozachodnich, gdyż tak rysowała się logika wewnętrznej walki politycznej. Do tego doszły siły zewnętrzne, wspierające kolejne „przewroty” („pomarańczowa rewolucja”, „Euromajdan”), na tle których ujawniły się separatyzmy regionalne na wschodzie Ukrainy.

Lekceważenie niedźwiedzia

Rosjanie przekonali się wówczas, że mają do czynienia z hipokryzją Zachodu, a wszelkie próby załagodzenia konfliktu traktowano instrumentalnie. Nieustępliwość Rosji w obronie zbuntowanych republik uznano za „casus belli”. Porozumienia mińskie z 2014 i 2015 roku nie stworzyły więc podstaw do trwałego zakończenia walk na wschodzie Ukrainy.

Ostatecznie, gdy nie pomogła dyplomacja, Rosja sięgnęła otwarcie po oręż. W tym tkwi sedno nieporozumienia, jakie występuje w mitologizacji agresji rosyjskiej. Propagandyści Zachodu wyraźnie pomylili wektory ekspansji. To nie Rosja podeszła „pod drzwi NATO”, lecz odwrotnie, NATO zaczęło niebezpiecznie zbliżać się do jej granic. Każdy, kto choć trochę rozumie logikę równowagi sił, musi zdawać sobie sprawę z tego, jak wielkim zagrożeniem było militarne podejście Zachodu do jej „miękkiego podbrzusza”, czyli do najbardziej wrażliwej strategicznie strony.

Choroba, zwana ślepotą poznawczą wraz z rusofobicznym

zacierzwieniem wyzwoliła w wielu kręgach politycznych, medialnych i intelektualnych tak silną nienawiść do Rosji i jej mieszkańców, że sięga się nawet do „pseudomądrości” historiozoficznych, aby tylko uwolnić zachodnich decydentów politycznych od odpowiedzialności. Opinii publicznej w wielu krajach wmówiono, tak jak kiedyś robiono to w odniesieniu do Niemców, że Rosjanie mają jako naród historycznie utrwalony gen agresywności i wrodzoną żądzę podboju. Tymczasem to dzisiejsze państwa zachodnie – Wielka Brytania, Francja, Hiszpania, Holandia, Niemcy, łącznie z niewielką Belgią i potężnymi Stanami Zjednoczonymi – dziedziczą największą krzywdę wyrządzoną przez siebie ludom pozaeuropejskim i niesławę swoich podbojów kolonialnych. Gen imperializmu, agresywności i podboju, a także eksterminacji tubylczej ludności, tkwi jak zadra w dziejach nowożytnego świata, która powoduje co i raz dziwaczne zrywy „przebudzonej” świadomości wyzysku, dyskryminacji i rasizmu („wokeizm”).

Dlatego wprost nie do uwierzenia jest, że także w kręgach akademickich przyjęto bezkrytycznie jedyną wersję zdarzeń, ukutą na Zachodzie, iż to ambicje imperialne Rosji, a nie ekspansja NATO na tereny poradzieckie są kluczem do zrozumienia konfrontacji tych dwóch masywów geostrategicznych. Obiektywizacja procesu poznawczego, czyli uwzględnienie choćby części racji drugiej strony zabierze sporo czasu, chyba żeby kolejny prezydent Ameryki, na co się jednak nie zanosz, dokonał „resetu”, rewidując dotychczasowe założenia strategiczne Zachodu.

Na marginesie warto zauważyć, że osobliwością metodologiczną analiz Rosji jest lekceważenie jej oficjalnej doktryny i doszukiwanie się intencji przywódców oraz agresywnych popędów w zakamarkach „duszy rosyjskiej”, w demonicznym charakterze i osobowości Władimira Putina, w rosyjskiej mistyce imperialnej i misjonizmie. Tymczasem wszelkie oficjalne oświadczenia przywódców zachodnich traktuje się jak „prawdy objawione”, z którymi nikt nie dyskutuje i nie podejrzewa, że są nasycone

kłamstwami, obłudą i fałszem. Skąd bierze się ta zideologizowana percepcja i niechęć do krytycznej dekonstrukcji imperializmu amerykańskiego? To pytanie kieruję zwłaszcza pod adresem polskich politologów, którzy ze swoich katedr uczynili ośrodki propagandy antyrosyjskiej i „komsomolskiej” gorliwości wobec Wujka Sama.

Oczekiwania wobec Donalda Trumpa, że szybko zakończy wojnę na Ukrainie, na razie nie mają podstaw w realiach. Tenże Trump będąc prezydentem, w grudniu 2017 roku podjął decyzję o dostarczeniu Ukrainie „broni defensywnej”. Miał świadomość, że USA od 2014 roku prowadziły szkolenie armii ukraińskiej i dostarczały jej coraz więcej broni oraz organizowały wspólne ćwiczenia wojskowe Ukrainy z siłami NATO. Przyniosło to oczywisty efekt wzmocnienia tego państwa, które w porównaniu z sytuacją z 2014 roku, kiedy Rosja zajęła Krym, miało w 2022 roku nie tylko wolę walki, ale i środki do odparcia ataku rosyjskiego w pierwszym roku wojny. Jeśli nawet Trump po ewentualnym powrocie do władzy odciąłby się od finansowania Ukrainy, to wiele wskazuje na to, że jej utrzymanie na swoje barki przejmie Unia Europejska, a państwa NATO z błogosławieństwem Waszyngtonu stworzą odrębny wielomiliardowy fundusz wojenny. Wojna może zatem ulec wydłużeniu, a nie wygaszeniu.

Wojenna pułapka

Stanowisko USA wobec wojny na Ukrainie wymaga pilnych przewartościowań także ze względu na ich potężne zaangażowanie we wspieranie Izraela w konflikcie bliskowschodnim. Obok rosnącego oburzenia na Zachodzie z powodu skali izraelskich zbrodni wojennych, amerykańskie „deep state” wyraźnie reorientuje swoją wrogość z Rosji w stronę Iranu. Nie jest bowiem wykluczone, że izraelska agresywność znajduje poparcie USA w eskalacji ataków na irańskie obiekty nuklearne, pola naftowe i rafinerie ropy naftowej. Teraz tam można sporo ugrać. Gdy nie udało się znokautować Rosji, trzeba wykorzystać

okazję do osłabienia reżimu w Teheranie.

Przyglądając się logice prowadzonych wojen na Ukrainie i na Bliskim Wschodzie można dojść do wniosku, że nie ma w nich żadnych racjonalnych uzasadnień. Doświadczenie historyczne uczy, że wzajemnej wrogości między zwaśnionymi stronami nie da się wyeliminować przy użyciu przemocy. Potrzebny jest metodyczny wysiłek koncyliacyjny i przywrócenie rangi rozwiązaniom prawnym. Jedynie masowy ruch protestu i edukacja na rzecz pokojowych sposobów załatwiania sporów międzynarodowych mogą przynieść pożądane efekty.

W opozycji jednak do takiego poglądu, być może warto zastanowić się, czy nie jest już za późno. Świat znalazł się bowiem na krawędzi złowrogich konfrontacji z powodu gigantycznych zagrożeń globalnych, których rządzący nie są w stanie rozwiązać przy pomocy pokojowych środków. Czyżby zatem groził ludzkości niepokohamowany determinizm wojenny?

Autorstwo: prof. Stanisław Bieleń

Źródło: MyslPolska.info